

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Do mego synka.

A czy znasz ty, dziecię moje,
Swej Ojczyzny biednej dzieje?
Wszystkie zmienne jej koleje,
Dni spokoju, krwawe boje?...

A czy znasz ty choć z imienia,
Dawnej Polski wiernych synów,
Sławnych z słowa i ramienia,
Tych Polaków i Rusinów?

Bo to, dzieci, znać potrzeba!
Tatko z chęcią wam opowie,
Jak to dawniej z woli nieba
Panowali nam królowie. —

Lub gdy czytać już umiecie,
To czytajcie sami w księdze:
Tam o Polsce się dowiecie,
O jej sławie i potędze.

Dziś, po wiekach wielu, wielu,
Przeminęły już dni sławy:
W złotych trumnach na Wawelu
Spiają Kaźmierze, Bolesławy!

Ej, zardzewiał Szczerbiec stary,
Co w kijowską bramę godził...
I legł król, co lud swój wodził
W naddnieprzańskich niw obszary.

A wraz z nimi, bracie miły,
Legła nasza wielkość w grobie —
Polska tam... gdzie te mogiły!
Gdzie lud we łzach i żalobie...

Ale niech się Staś nie smuci!
Wszystko leży w Boskiej mocy!

O! Bóg Polsce wolność wróci:
Błyśnie świt po ciemnej nocy!

Teodor Skalecki.



Wierny kozak.

W burzliwych czasach ostatnich wojen, pan Trzeciecki, zasłużony obywatel na Podolu, przebiegał się do pułku swego, który zostawał w Galicyi. Wierny jego sługa kozak, Sołowij imieniem, towarzyszył mu w tej nocnej przeprawie, pełnej zasadzek i niebezpieczeństw.

— Sołowiju — powiedział pan do niego — masz przy sobie cały mój zasób pieniędzy.

— Tak, panie! — rzekł kozak — w rzemiennym trzosie, obwiązanym około moich bioder, noszę to co mi powierzyłeś, i nie oddam nieprzyjacielowi chyba z życiem.

— Sołowiju! dodał obywatel — byłeś zawsze wiernym sługą, mam w Bogu nadzieję, że wytrwasz do końca.

Kozak milczał, ale wzrok jego czujny i troskliwy odpowiadał za niego panu, który w parę dni dostał się szczęśliwie do Galicyi.

Wiernego sługę złapali na drodze żołnierze. Pan Trzeciecki żałował straconych, jak myślał, pieniędzy, bo bez nich w obcym miejscu trudno mu się było obejść, ale więcej daleko żałował Sołowija, bo któż mu jego wierne służby zastąpi?

Kozak tymczasem odarty do koszuły przez żołnierzy, i postawiony na stepie do pilnowania koni, mówił do siebie:

— Masz tobie! złapali mnie żołdacy! nie mogę się ruszyć, wzięli suknie i konia; ale chwala Bogu trzosa uwiązany pod koszulą został nieporuszony? żebym go tylko mógł bezpiecznie dostawić panu, który tam musi w ciężkiej być potrzebie.

Słońce piekło dokuczliwie, pieniądze przywiązane do ciała wrzynały się w boki biednego kozaka, i paliły go jak ogień; on wziął się za boki i szepnął:

— Nie poradna to rzecz odwiązać trzosa od ciała, zły człowiek mógłby zobaczyć i przepaśćby własność pana, a to świętość, wierny sługa strzedz jej będzie jak oka w głowie.

Jakoż znosił ogień, znosił napaście, ból, razy, kije, a nie dał sobie wydrzeć trzosa.

Konie pasły się na trawie, on głodny i prawie nagi, siedział przy nich na stepie. Czasem w chacie jakiej dostał kawałek chleba; gospodyni mu czarny piróg i wody podała, częściej jednak nie dostał i szedł głodny na spoczynek, choć u pasa miał trzosa złota, za któryby się i marcepanów dokupić można.

O, gdyby pan wiedział o tej biedzie jego, oddałby cały swój skarb na zakupienie mu chleba, ale on wojuje w Galicyi, i kto wie czyli wróci do domu...

Tak upłynęło pół roku. Naraz pan Trzeciecki przyjechał do wsi swojej, a kozak jak strzała przybiegł do niego i mu pokazywał trzosa bogaty.

— Sława Bogu, panie — zawołał ucieszony — widzę was zdrowym całym, i w trzosie ani grosza nie brakuje.

Pan ze łzami uściskał sługę, a ten odpasawszy trzosa od zboliałych bioder, w które rzemień już prawie powrastał, odetchnął wolno i swobodnie.

Pan Trzeciecki nie patrzył na pieniądze. Jego wierność kozaka dobywała łez z oczów, to też sam opatrzył jego rany, posadził przy sobie, pielęgnował do śmierci, czerpiąc z owego trzosa na potrzeby i wygodę Sołewija.

Było także drugie stare, poczciwe kozaczyśko u para Sobańskiego. Przed dwoma laty zabrał go Bóg do siebie, zostawiając dla drugich piękny przykład jego cnoty.

W ostatniej wojnie pan Sobański także przebiegał się nocą do swoich, unikając nieprzyjaciół. Kozak Maksym był przy jego boku, a pieniądze i kosztowności pańskie były zamknięte w siodle kozaka.

Ta druga historia jest niezmiernie do pierwszej podobna; i tu także pan przeszedł szczęśliwie, a kozak wpadł w ręce nieprzyjaznej drużyny, potykał się z nią długo, bronił mężnie siodła niż własnej głowy, a wymknawszy się wreszcie z rąk nieprzyjacielskich, wśród trudów i niewygód przybył do Tarnopola, gdzie pan jego

właśnie był w gościnie u krewnych swoich. Skoro mu dano znać, że jakiś kozak chce się z nim widzieć, natychmiast porwał się od stołu, biegnąc i wołając:

— To mój Maksym, wierny sługa mój!

— Tak panie — przywodził kozak, we drzwi wchodząc — przybyłem szczęśliwie...

— A nie ranny?

— Nie, i siodło całe; jest tam na koniu nie tknięte, a w siodle kosztowności i pieniądze.

Przyniesiono natychmiast siodło i kozak w obecności zebranych osób odliczył panu sumiennie jego własność, a wszyscy, patrząc ze wzruszeniem na niego, powtórzyli do koła najpiękniejszą pochwałę, jaka może spotkać człowieka:

— Poczciwy! —

A ponieważ rozgadaliśmy się o kozakach, o tym poczciwym ukraińskim ludzie naszym, wspomnijmy jeszcze o gospodarzu imieniem Nazar, który w ostatnich czasach odznaczył się także.

Podczas krymskiej wojny, obawiano się na Podolu i Wołyniu jakiego nadzwyczajnego przechodu wojsk lub napadu, jak to zwykle podczas wojen bywa i każdy kto mógł ukrywał kosztowniejsze rzeczy. Tamte okolice pamiętają jeszcze najścia i spustoszenia, wykonywane przez Tatarów, to też najmniejszy ruch wojenny budzi w nich dawne obawy i nasuwa dawną ostrożność.

Pan G., dziedzic Piedniczan, zebrawszy wszystkie srebra i kosztowności swoje, powierzył je do zakopania w ziemi gospodarzowi Nazarowi, który sam jeden przypuszczony był do tajemnicy.

Nazar zakopał srebra w polu, grunt zaorał, zasiał zboże, i na przyszły rok zbierano w tem miejscu pszenicę, a gdy ucihła wojna i pan G. zażądał sreber swoich, Nazar wydobyl je z ziemi, oddał w całości, nie mówiąc o tej sprawie nikomu. Dziś na tem miejscu znów rośnie pszenica, a złote jej kłosa co rok przypominać będą postępek wiernego i rzetelnego gospodarza Nazara.

Gdziekolwiek rzucim okiem na Podolu, gdzie nakłonim ucha, wszędzie ujrzymy lud poczciwy, wszędzie usłyszymy przykłady jego wytrwałości w świętej wierze, poszanowaniu dla rodziców i wierności dla swych chlebodawców. Bo też za zwyczaj te trzy rzeczy trzymają razem, i kto kocha Boga, ten czci ojca i matkę, którzy są obrazem Boga na ziemi; i miłuje bliźnich, szczególnie zaś tych, co światłem i odwagą swoją zasłużyli się wielce około dobra kraju i jego odwiecznych mieszkańców.

W tych to więc samych Pietniczanach, gdzieśmy już widzieli dobrego sługę, zobaczymy teraz dobrego syna.

Stary gospodarz Bojko, mając już dorosłego syna, który mu parobkiem w domu pracował,

chciał zdać na niego gospodarstwo i ustąpić mu pierwszeństwa.

— Janie — powiedział — pójdźmy do miasta i tam u rejenta każę sobie wymazać z listy gospodarzy, a ciebie w to miejsce zapisać. Jesteś już w latach, czasby ci było zostać samowolnym gospodarzem, a nie ciągle słuchać rozkazów i być posługaczem starego ojca, który jeszcze może Bóg wie, jak długo pożyje. Wybierz się więc zaraz ze mną do urzędnika miejskiego.

Ale syn upadł z uszanowaniem do nóg ojca i, całując je, powiedział:

— Nie, ojcze! dopóki ty żyjesz, jesteś starszym i gospodarzem, a ja twoim synem i sługą! Pozwól więc, że ci będę służył wiernie i poddanie.

Stary Bojko pobłogosławił z czułością Jana, którego uległość i miłość synowską pewnie Bóg w niebie zapisał.

Lipa w Płocku.

Dzwonili na mszę w katedrze płockiej, w tej starej, pięknej mazowieckiej katedrze, w której murach tkwią jeszcze szwedzkie kule, a w której wnętrzu spoczywają popioły dwóch królów: słabego Władysława Hermana i, jakby dla równowagi, potężnego orężem Bolesława Krzywoustego.

Trzy wieże ze złotymi krzyżami bronią, katedry, zabudowanej na Tumskiej górze, z kądem malowniczy widok na Wisłę i jej okolice pociąga wzrok mieszkańców miasta ku drugiej stronie rzeki. Most łączy miasto z zielonymi brzegami Radziwiwa, Łącka, i widnej w oddaleniu fabryki papieru w Soczewce; a szmer wioseł, bieg berlinek, łodzi, czółen, galarów, tratw, ostatnimi czasy i parowców, oraz krzyk wioślarzy, przewoźników, flisów, rybaków, napełniają życiem i gwarem tę piękną przystań wojewódzkiego Płocka.

Płock jest położony na górze. Obszar zwieszonych na dół ogrodów oddziela go od rzeki. Tumska góra, schodząc spadzisto w głąb wody, zieleni się trawą i żółci piaskami, a małe, drewniane domki farbiarzy i szewców, przyczepione do jej boków, pochylone ku Wiśle, podobne są do ślimaków, które, wylazłszy z wody, przylgnęły na skale.

Dzwoniono więc na mszę ranną w katedrze, a lud miejski pracował już przy warsztatach, straganach. Radziwiacy nieśli na targ masło, kury i ogórki; dzieci dążyły do szkółek, i właśnie gromadka chłopców w popielatych kapotkach z książkami pod pachą, dążyła wesoło przez plac dominikański, który mimo swej skromnej nazwy placu, był przecież najdoskonalszym ogrodem, pełnym słowików, ścieżek, ławeczek i drzew starych, rozłożystych, skupionych wokół kościoła, szkółek elementarnych i więzienia złoczyńców.

Ale w tej masie drzew dominikańskiego placu odznaczała się szczególnie lipa, wyrosła na ustronnym tarasie. Dziś już ona nie istnieje.

Sto lat jej liczyli i stuletni dziadek pod nią siadywał, jakby pod dachem własnej swojej chaty. Dziadek zwał się Józef; długo wojował po świecie za Napoleona, miał kilkanaście starych ran na ciele, które odjawszy mu siły, zmusiły do żebranki. Wówczas wrócił do swego rodzinnego miasta, siadł pod lipą, równienną, z dawną znajomą, i śpiewając od świtu pieśni pobożne, od świtu też dostawał grosze w trzcinowy koszyczek a kukielki do torby.

Któreż miasto, któreż wieś polska nie ma swojego dziada, co za młodu bił się meźnie i chwalebnie... a w smutnych niedoleścia latach przyjmując dobroczynną jałmużnę swych braci, ściągając na nich błogosławieństwo Bożkie pieśniami swojemi!

Józef rzadko kiedy opuszczał lipę; chyba jaka wielka procesja zdarzyła się w mieście i trzeba było asystować księdzu; albo na Boże Narodzenie należało roznieść mieszkańcom opłatki, i na Wielkanoc w glinianym dzbanuszką wodę święconą. Wszyscy go znali, wszyscy go lubili. Kiedy we drzwiach jakiego domu ukazała się jego biała broda i biała sukmana, wybiegli wszyscy z datkiem, przyjmując od staruszka opłatek, palmy, święconą wodę i Alleluja!

Ale wróćmy się do dzieci idących do szkoły. Przebiegały one właśnie dominikańskim placem koło lipy i dziada.

Wesoła gromadka sunęła żwawo naprzód, tylko jeden chłopczyk w paradnych szarawarkach zatrzymał się, zdjął czapkę i w plecioną kobiałeczkę rzucił miedzianego groszaka.

Starzec spojrzał na dziecko, na datek, i rzekł:

— Wojtusiu, już to czwarty raz dajesz mi grosz po groszu.

Chłopiec skłonił się grzecznie i rzekł:

— Bo ten grosz mi nie potrzebny, a tyś dziadku biedny, może zbierzesz na bułeczkę.

Józef patrzał z uczuciem na dziecko i w ten sposób przeciągał rozmowę:

— A o cóż mam się modlić dla ciebie?

— O co? — powtórzyło dziecko — o to... żebym został rybakiem, żeby mi Bóg dał łódkę i żebym się nigdy od Wisły nie oddalał.

— Tak kochasz rzekę? Pewnie mieszkasz nad Wisłą?

— Tak jest, dziadku! Ojciec jest farbiarzem, domek nasz pod Tumską górą, tam gdzie na krzakach wiszą same niebieskie chusty, bo tatulo tylko na niebiesko farbuje.

— Aha! wiem, farbiarz Kocioł.

— Jużci dziadku; tatula Kotłem nazywają. Tatulo teraz nie ma pieniędzy, ale jak się dorobi i ja wyrosnę, kupi mi łódkę.

Będę o to prosił Boga — odrzekł starzec — ty zaś chłopcze idź do szkoły i pracuj, żebyś nie

tylko umiał ryby łowić, lecz i Boga chwalić i książkę przeczytać, która uczy prawd potrzebnych w życiu i ulepszeń w rzemiośle.

Syn Kotła podziękował za dobrą radę i poszedł do szkoły. Starzec zaczął pieśń nabożną i dzień przeszedł jak zwykle.

Ale nie wszystkie dnie były temu podobne. Przyszedł jeden dzień skwarny, burzliwy, zaćmiorny ołowianą chmurą na niebiosach. Kilka piorunów upadło w Wisłę, wreszcie przyszła noc ciemna, i okryła tajemnicą jakieś straszne igrzyska wichru i burzy. Dopiero kiedy dzionek odsłonił nocne spustoszenia, lud miejski na odgłos strasznej wieści, wybiegł nad Wisłę i załamał płaczliwie ręce...

Było to w owym pamiętnym dla Płocka roku 1842. Burza wstrząsnęła domkami, niebacznie przyczepionymi do kruchych boków Tumskiej góry, i jeden z nich, Kotła farbiarza, zasypała w ziemi i w piasku. Jęk i płacz rozszedł się na okolo, dobywano z pokruszonych ścian i ze zginiłych belek gości i domowików, bo Kocioł tej właśnie nocy wyprawiał córce wesele, i burza napadła ich wśród uczty.

Kilka osób się poraniło; inne ocalały, tylko panna młoda w wieńcu ślubnym i w białej zasłonie leżała martwa na ziemi.

W skutek tego wypadku utracił stary Kocioł chatę, przyrząd farbiarski, mienie, wesołość i zdrowie.

Wojtuś przestał chodzić do szkoły, pomagał rodzicom małym swoim zarobkiem, jaki mu dawano za dźwiganie cegieł przy budowie domów; o łódce nie było już mowy. Wszyscy mniemali, że myśl o niej wywietrzała już z głowy podroste go chłopca; tylko stary Józef tego nie mniemał, bo widział co niedzieli, jak Wojciech wykradał się z miasta, aby nad brzegiem Wisły odetchnąć, nad przestrzenią czystej, szerokiej wody, i popatrzeć na statki szczęśliwszych od niego żeglarzy.

Tak upłynęło lat kilka. Wojtuś musiał coraz cięższe prace podejmować, aby zarobić na wzrastające z wiekiem potrzeby, ale wycieczek swoich nad brzeg Wisły nie zaniechał nigdy. Razu jednego, kiedy właśnie wracał przez plac dominikański ze spuszczoną na dół głową, głos z pod lipy wezwał go po imieniu:

— Wojciechu!

Młodzieniec odwrócił się i przystanął: biała broda Józefa migała w zmroku, usiadł więc przy starcu, który słabym i gasnącym głosem do niego przemówił:

— Wojciechu! w dzieciństwie twojem nie żałowałeś mi grosza, kiedyś go miał. Bóg na jałmużnę litościwego serca patrzy zawsze łaskawie i nagrodzi ją... ten Bóg natchnął mnie dobrą myślą: słuchaj! Od dwudziestu lat jak siadam pod tą lipą, co dzień z jałmużny otrzymywanej odkładam grosz jaki na owe smutne lata, w któ-

rych człowiek nawet już zebrać nie potrafi. Tym sposobem zebrałem kilkanaście talarów. Wezmiesz je chłopce, kupisz za nie łódkę i wypełniając te najgorętsze życzenia serca twojego, spełnisz zarazem ostatnią wolę starca.

Wojtuś był bardzo biedny, mimo to jednak w żaden sposób nie chciał przyjąć zebranej pracowicie ofiary. Józef więc prawił dalej:

— Rozumiem twoje szlachetne skrupuły, ale one nie są potrzebne. Myślisz, że jeszcze przydadzą mi się te pieniądze na moje potrzeby? Sto lat mi się kończy i lipa swojej setki dosięga. Widzisz w jej pniu to straszne wydrążenie i próchno starości? W mojem ciele tak samo koniec już czuć się daje. Lada dzień padniemy oboje: ona na zielonej murawie tarasu, ja na mogiłach parafialnego kościoła.

— Śpiesz się więc chłopce, kupuj łódkę, wypływaj na wodę. Niechaj Piotr święty błogosławi twoim połowom, a ja niechaj jeszcze na ziemi doznam tej ostatniej pociechy z twojego szczęścia.

Wojciech zwalczony tem słowem, przyjął pieniądze, kupił łódkę, i szczęśliwy płynął po tej pięknej Wiśle, którą tak z serca ukochał; a gdy wróciwszy z pierwszej wyprawy, biegł podzielić się bogatym połowem z rodzicami i z dobroczyńcą swoim — Józef już nie żył.

Wojciech oblał łzami mogiłę starca, nad którą wszyscy mieszkańcy Płocka plakali, wzruszeni tem żywiej, że na drugi dzień po jego śmierci wiatr wywrócił spróchniałą lipę. Jej martwe gałęzie, rozciągnięte na dominikańskim placu, zdały wyrażać tęsknotę za rówieśnikiem i towarzyszem.

Wojciech różdżkę z niej uciętą posadził na tarasie, w zamiarze przesadzenia jej kiedyś pod okienko własnej chaty.



Dziecię i rybka.

Rybka w wodzie się pluskała,
A dziewczynka to widziała:
„Kto cię uczył moja rybko
W wodzie plaskać się tak szybko?”
Na to rzecze rybka miła:
Tak mię mama nauczyła
I ty słuchaj matki, dzieć, —
Będzie dobrze ci na świecie.“

Emilia P.

